

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

49

— Tak... To słuszne... Lecz baron, — jestem tego pewny — jest równie niewinny, jak jego córka... Dlaczego jego o tem nie uwiadomić, by przygotował do tego ciosu Kamilę? — zapytał Maurycy.

— Ani inteligencya, ani charakter barona nie pozwalają przypuszczać, by się dobrze wywiązał z tej roli — odpowiedział Lewis Jackson.

— A pan?... a Piotr?... Nie mogą się panowie tego podjąć?...

— Ja jestem zupełnie obcy dla tej młodej panny... Piotr zaś nie panuje nad sobą...

— Dobrze! Pójdę!

I Maurycy otarł swe czoło zroszone potem.

— Ach! — dodał amerykańnin. — Przyznaję, że to jest bolesna rzecz!

— Nie, to jest cała droga krzyżowa na Kalwaryę.

Inżynier był blady. Skierował się mimo to od razu do wyjścia.

— Idzie pan na ulicę Ampère? — zapytał jeszcze Lewis Jackson.

— Natychmiast!

— A my do schroniska świętej Anny!

I miliarder, podnosząc głos, rozkazał wszystkim: — W drogę!

IX.

Było już wpół do jedenastej, gdy wielki samochód, wiozący obydwóch amerykańców, Piotra, Ewę i Panajona zatrzymał się na ulicy Cabanes przed monumentalną bramą, nad którą powiewała trójkolorowa chorągiew. Lewis Jackson wyszedł pierwszy i zadzwonił do małej furtki, znajdującej się opodal bramy. Drzwiczki otworzyły się i przez nie wszedł miliarder, a za nim reszta towarzystwa.

Portyer zakładu leczniczego spotkał ich przy bramie.

— Chcemy widzieć jedną chorą — rzekł Lewis Jackson.

— Proszę iść tą aleją — wskazał służący — i na końcu jej na prawo znajdą państwo Dyrekcyę... Tam należy się zgłosić ze swem żądaniem.

Przyjaciele Ludwika udali się we wskazanym kierunku i po przejściu wspaniałej alei, wysadzonej wielkimi kasztanami, ujrzeni przed sobą budynek z napisem: Zarząd. Na spotkanie ich wyszedł woźny zakładu.

— Czy można widzieć się z dyrektorem? — zapytał Lewis Jackson.

Przybyłych wprowadzono natychmiast do skromnie umeblowanego gabinetu, gdzie przyjął ich poważny i uprzejmy dyrektor.

— Ach! Proszę mi wybaczyć! — rzekł przy pierwszych słowach miliardera. — Powinienem był poznać od razu tak popularną wszędzie postać króla stu dwudziestu koni! A więc pan ma nadzieję — mówił dalej, zwracając się do Piotra — poznać tę nieszczęśliwą, która wymówiła pańskie nazwisko?

— Tak, panie — odrzekł stłumionym głosem młody człowiek.

— Każe ją zaraz przyprowadzić...

Dyrektor nacisnął guzik dzwonka elektrycznego i rzekł do posługacza, który w tej chwili się zjawił:

— Przyprowadzić chorą numer 478.

Nigdy dyrektor nie nazywa obłąkanami lub wariatami swych pensjonarzy. Zabronił używania

u siebie tych strasznych nazw i zastąpił je prostym słowem: chory.

Posługacz wyszedł i zapanowało ciężkie, przytłaczające, bolesne milczenie. Tak upłynęło kilka chwil, które przybyłym wydały się całymi wiekami. Potem drzwi gabinetu znowu się otworzyły i w towarzystwie dwóch biało ubranych infirmerek weszła w szarym kostymie Ludwika.

Wszyscy powstali. Panajon odwrócił głowę, by nic nie widzieć. Piotr i Ewa patrzyli z szeroko rozwartymi oczami. Biedna obłąkana postąpiła na środek pokoju i spoglądała na te osoby, których już nie poznawała. Potem odwróciła się i skierowała do drzwi. Infirmierki zagrodziły jej drogę.

— Dokąd idziesz, moje dziecko? — zapytał czule dyrektor.

Wszyscy powstrzymali oddech. Ludwika, wahać się, otworzyła usta.

— Piotr... — szepnęła.

Oczy jej jednak zwrócone były na drzwi, a nie na młodego człowieka.

— Tak — rzekł znowu dyrektor — chcesz zapewne iść do pana Piotra Cartelegue'a, prawda?... A więc spojrzij w tę stronę...

Wskazał palcem na młodego człowieka.

Ludwika usłuchała. Spojrzała na swego przyjaciela i nawet postąpiła krok ku niemu. Lecz jej wielkie szare oczy rozszerzyły się tylko zdumione przed tą nieznaną dla niej teraz postacią, którą jej wskazywano. Potem powróciła znowu do drzwi i chciała usunąć infirmierki, które starały się ją uspokoić. Widząc, że wysiłki jej są daremne, przestała nalegać. Stała wyprostowana, nieruchoma, z opuszczonymi w dół rękami i tylko po wychudzonej jej twarzy, spływały wielkie łzy.

Z piersi Piotra dobył się bolesny jęk.

— Uspokój się! uspokój! — szeptał Lewis Jackson, biorąc za rękę młodego człowieka, podczas gdy Panajon, bliski płaczu, zagryzał sobie do krwi drżące wargi, a Joe Smith, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, kłął półgłosem po amerykańsku. Nieszczęśliwy chłopiec był już wyczerpany z sił. Upadł na kolana i pięściami bił się po głowie.

Ewa opadła na fotel i tłumila łkanie. Dyrektor dał znak i infirmierki, biorąc pod rękę Ludwikę, wyprowadziły ją z gabinetu.

Lewis Jackson z pomocą swego sekretarza podniósł Piotra. Szeptał mu:

— Nie oddawaj się rozpacz, *my boy!* Musisz być silnym, by się pomścić!

— Pomścić się... — jęknął Piotr. — O, tak! pomścić się!

Panajon to usłyszał. Zbliżył się do rozmawiających i rzekł:

— Jeżeli panowie będą potrzebowali kogo do odarcia ze skóry Dureta, to proszę nie zapominać o mnie!

— Przyjmuję chętnie to oświadczenie — odpowiedział spokojnie amerykańnin.

Dyrektor, stojąc przy swym biurku, milczał. Cekał, aż rozpacz Piotra trochę się ułagodzi. Wreszcie młody człowiek zdawał się uspokajać. Pozostał bladym, drżącym, lecz nie czynił już beładnych gestów.

— Czy mogę się dowiedzieć, kim jest owa chora? — odezwał się dyrektor, zwracając się do wszystkich.

— Jest to sierota, Ludwika Dubois — odpowiedział Lewis Jackson. — Do niedawna była nauczycielką u naszych przyjaciół, baronostwa de Lagunan i tam ją poznaliśmy. Po utracie tego miejsca została prasowaczką.

— Czy mogła się dowiedzieć, kim jest owa chora? — odezwał się dyrektor, zwracając się do wszystkich.

— Przyczyny jej obłąkania?... Pewne wypadki, których ta biedna stała się ofiarą, straszne, przerażające wypadki, mogące naruszyć równowagę najsilniejszego umysłu.

— Może mi je pan wyjawić?

— Nie. Muszą one pozostać w tajemnicy.

— Nie nalegam... Czy panna Dubois ma krewnych?

— Żadnych.

— A przyjaciół?

— Nas.

— Bardzo dobrze... panowie będą tak łaskawi i podadzą mi... o ile naturalnie zechcą... swe nazwiska i adresy, abym, jeżeli panna Dubois będzie się czuła lepiej... lub gorzej... mógł o tem zawiadomić...

— Więc ona ma tutaj pozostać?...

— Och! nie!... — błagał Piotr.

Ewa płakała dotychczas w swym fotelu. Teraz wstała i złożyła ręce.

— Niech pan pozwoli nam zabrać ją z sobą! — prosiła.

— Ależ — odparł dyrektor — do świętej Anny nie wchodzi się i nie wychodzi jak z wiatraka... Panna Dubois została do nas przysłana z rozkazu prefektury po uprzednim lekarskim zbadaniu w policji... I teraz, by ją wypuścić, potrzebny jest nowy rozkaz prefekta...

— Pójdziemy do prefekta — rzekł Lewis Jackson.

— Chora nie jest wcale niebezpieczna — mówił dalej dyrektor. — Dam znać do prefektury, że z naszej strony niema żadnych przeszkód do uwolnienia jej... Lecz oprócz względu na bezpieczeństwo publiczne, trzeba brać pod uwagę i wzgląd na samą chorą... Czy ona gdzieindziej będzie miała taką troskliwą opiekę jak tutaj?

— Będzie leczona przez najslawniejszych specjalistów całego świata — odpowiedział Lewis Jackson.

— Dobrze! Lecz u kogo będzie mieszkała?

— U mnie — rzekł amerykańnin.

— Tak... u pana... — mówił dyrektor, kręcąc w zakłopotaniu wąsy.

Chciał powiedzieć, a nie wiedział, jak to wyrazić, że sądząc Lewisa Jacksona po jego wyniszczonym palcu i wyrudziałym kapeluszu, nie można mieć nadziei, by chora u niego miała te wygody, jakimi ją otoczono u świętej Anny.

„Chociaż — myślał — młody Cartelegue prawdopodobnie poniesie kosztą jej utrzymania... Biedny król stu dwudziestu koni kocha tę małą... Nie może ulokować jej u siebie... I powierzy ją temu jego mościowi, skromnie ubranemu, lecz o godnej minie...”

Businessman odgadł myśli dyrektora.

Habit nie stanowi zakonnika — rzekł. — Moje ubranie jest zniszczone... Mimo to mam środki na wspomnienie osób, potrzebujących pomocy... Oto moje nazwisko...

Wyjął z portfela bilet wizytowy i podał go dyrektorowi.

— Przecież pan mi przysłał swą kartę — rzekł dyrektor.

— Tak... Lecz na niej jest nazwisko, pod którym przybyłem do Paryża... Ta karta jest z nazwiskiem, które noszę w Ameryce...

„Lewis Jackson” — przeczytał dyrektor, biorąc do ręki kartę.

Z karty przeniósł oczy na swego gościa, potem znowu przeczytał nazwisko. Po chwili namysłu rzekł:

— Słyszałem o pewnym miliarderze amerykańskim, który tak się nazywa...

— To ja jestem.

— Pan?

— Tak, panie... Mój sekretarz tu obecny, może panu dostarczyć, jeżeli pan sobie tego życzy, dowodów prawdziwości mego nazwiska...

Joe Smith na znak businessmana rozpiął swe drogie futro, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki okazały portfel i wydostając z niego grubą